NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 19 maja 1923. Nr. 20.

Marszałek Foch w Krakowie



Uroczysty orszak marsz. Focha w dniu jego przyjazdu. w ul. Straszewskiego.

Marszałek Foch w Krakowie

Z właściwą sobie powagą a niemniej serdecznie powitał Kraków wielkiego wodza Francyi. W piątek już od wczesnego rana gromadziły się tłumy ludzi przy ulicach, któremi miał przejeżdżać marszałek Foch, poza kordonami młodzieży i licznych stowarzyszeń. Już przed godziną 9 rano zaczęły przybywać liczne deputacye i przedstawiciele władz na dworzec kolejowy, gdzie ustawiła się kompania honorowa 20 p. p. z orkiestrą. Przed dworcem stanął szwadron ułanów 8 pułku z orkiestrą, oraz szereg pojazdów i samochodów, a dalej banderya włościańska i oddział rowerzystów szkół krakowskich.

Tuż przed przyjazdem marszałka Focha zjawiła się na dworcu jeneralicya z inspektorem armii jen. Szeptyckim, dowództwo okręgu krakowskiego z jenerałami Czikielem, Tinzem, Zielińskim, Minkiewiczem, Kosteckim, Truszkowskim, oraz prezydent miasta Federowicz we wspaniałym czarnym kontuszu i przy pozłocistej karabeli.

Punktualnie o godzinie 9·45 rano na wspaniale przystrojony peron wśród świstu syren i lokomotyw, zajechał pociąg, którego maszyna ozdobiona była kwiatami i napisem: „Niech żyje Francya", „Niech żyje Foch". W chwili, gdy pociąg zwalniał, czterech trębaczy na srebrzystych trąbach odegrało potrójną fanfarę, poczem rozległy się dźwięki „Marsylianki".

Gdy pociąg stanął, wyszedł z wagonu marszałek Foch, witany burzliwemi okrzykami. Po przywitaniu z jen. Szeptyckim, wojewodą Gałeckim i prez. Federowiczem, rotmistrz Pusłowski, adjutant Prezydenta Rzeczypospolitej, złożył marszałkowi Fochowi pozdrowienie od prezydenta Wojciechowskiego. Pośród dźwięków hymnu narodowego, przeszedł marszałek Foch przed frontem kompanii honorowej, a następnie przed delegacyami m. Krakowa, poczem opuścił dworzec i zajął miejsce w przygotowanym powozie.

Wśród szpalerów obywatelstwa krakowskiego ruszył cały orszak, na którego czele jechał oddział rowerzystów, złożony z młodzieży IV. gimnazyum, następnie jechała orkiestra konna 8 pułku ułanów, poprzedzona trębaczami, dalej banderya Krakusów ze sztandarem w sile około dwustu koni.

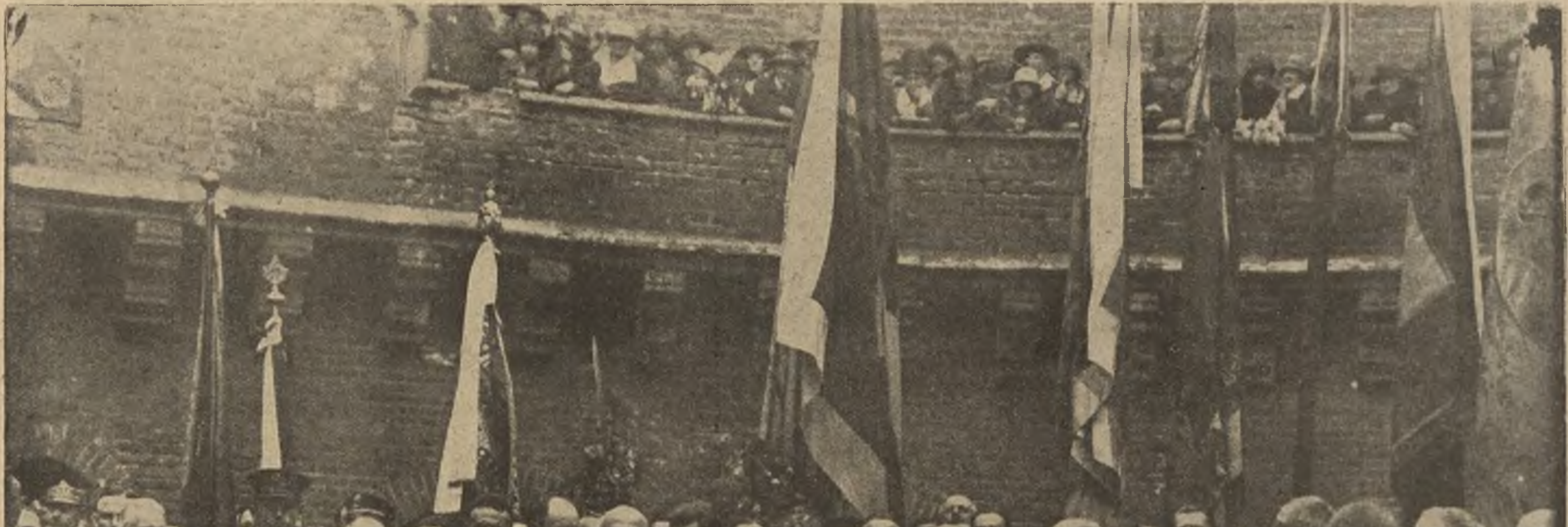
Za banderyą jechał prezydent Federowicz w powozie, zaprzężonym w konie w krakowskiej uprzęży, powożonym przez Krakusa. Następnie za szwadronem 8 pułku ułanów z żółtemi proporcami, jechał wspaniale ukwiecony powóz marszałka Focha, zaprzężony w trzy pary białych koni, powożonych przez trzech oficerów. Na koźle zajęli miejsca dwaj hajducy w biało-niebieskich strojach. W powozie siedział obok marszałka Focha wojewoda dr. Gałecki. Za powozem jechali konno jenerałowie Szeptycki z jen. Czikielem, jen. Zieliński z jen. Rozwadowskim, oraz komendanci dywizyi, brygad i pułków. Za sztabem jechał szwadron 8 pułku ułanów, poczem sunął szereg samochodów i powozów z dygnitarzami i świtą marszałka.

Orszak posuwał się zwolna wśród szpalerów, utworzonych przez młodzież szkół żeńskich i tłumy publiczności. Uczenice szkół krakowskich obrzucały kwiatami powóz marszałka Focha, a publiczność wznosiła niemilknące okrzyki. Wśród entuzyazmu zebranych dotarł cały orszak do Barbakanu, powitany „Marsylianką" przez orkiestrę młodzieży szkolnej.

Wewnątrz Barbakanu, ozdobionego w podobizny sztandarów, zdobytych na Krzyżakach pod Grunwaldem oraz chorągiewkami i zielenią, oczekiwało przybycia marszałka Focha grono radców miejskich z wicepr. Rollem, Sarem i Wielgusem, posłowie i senatorowie bawiący w Krakowie, Tow. strzeleckie z królem Fenzem i marszałkami kurkowymi drem Schneidrem i jen. Stillerem, cechy w liczbie 32 ze sztandarami, prezes Izby notaryalnej Starzeński, delegacya związku artystów z prezesem Wodzinowskim, prezydyum Białego i Czerwonego Krzyża itd. Na galeryi zajęły miejsca panie, trzymając w rękach bukiety kwiatów. Z chwilą, gdy powóz z marszałkiem Fochem wjechał do Bar-



Marszałek Foch w Krakowie: Towarzystwo Strzeleckie z królem kurkowym w pośrodku w oczekiwaniu na przybycie marsz. Focha w Barbakanie. Fot. am. St. Igliński. Kraków.



Marszałek Foch w Krakowie: Powitanie marszałka Focha (x) w Barbakanie. Po prawej stronie marszałka woj. Gałecki, po lewej prez. Federowicz (w kontuszu) i wiceprezydenci Sare i Wielgus.



Marszałek Foch w Krakowie: Podczas mszy, polowej na Rynku krakowskim w dniu 13 maja b. r. Siedzą: Marsz. Piłsudski, poseł fran. Panafieu, marsz. Foch, jen. Sosnkowski; stoją: rotm. Pusłowski, jen. Szeptycki, jen. Czikiel, jen. Żeligowski. Fot. am. St. Leo, Kraków.

bakanu, chór „Echa" odśpiewał kantatę powitalną. Następnie prezydent Federowicz, otoczony wiceprezydentami i członkami Rady miejskiej, zwrócił się do marszałka Focha z przemówieniem w języku francaskim, na które wzruszony marszałek Foch odpowiedział w krótkich słowach, poczem po przedstawieniu Marszałkowi wiceprezydentów i członków Tow. strzeleckiego ruszył orszak przez wspaniale udekorowaną ulicę Floryańską wśród szpaleru młodzieży gimnazyalnej ze sztandarami i orkiestrami, ku kościołowi Maryackiemu.

Wśród niemilknących okrzyków i powodzi rzucanego kwiecia zajechał marszałek Foch przed kościół Maryacki, gdzie w kruchcie ustawiło się duchowieństwo z infułatem Wądolnym. Po krótkiem przywitaniu u progu starej świątyni przez ks. infułata Wądolnego przeszedł marszałek Foch z orszakiem wśród szpaleru uczennic biało ubranych, przed ołtarz Stwosza. Gdy marszałek Foch zbliżył się do ołtarza, wyszedł naprzeciw ks. biskup Sapiecha w otoczeniu kleru i powitał Marszałka. Następnie Marszałek zasiadł na krześle przed ołtarzem, a obok niego wojewoda dr Gałecki, ambasador francuski Panafieu, jenerał Dupont, minister Sosnkowski, jen. Szeptycki, oraz prez. Federowicz. Infułat ks. Wądolny zaintonował przed otwartym ołtarzem Stwosza krótką modlitwę, poczem chór „Echa" wykonał kilka pieśni kościelnych. Na zakończenie uroczystości wszyscy obecni odśpiewali hymn „Boże coś Polskę".

Po opuszczeniu kościoła przewinął się cały orszak przez Rynek, a koło głównej warty orkiestra wojskowa odegrała hymn państwowy, zaś oddział wartowniczy prezentował broń. Orszak jechał następnie przez wspaniale udekorowaną ulicą św. Anny. Przy najpiękniej udekorowanym budynku T. S. L. zatrzymał się powóz Marszałka, gdzie grono pań i dzieci w bieli wręczyło Marszałkowi bukiet kwiatów. Marszałek wziął na ręce dziewczynkę w stroju polskim, ktora wręczyła mu bukiet i wzruszony ucałował dziecko w czoło.

Następnie orszak przy dźwiękach orkiestr gimnazyalnych i okrzyków tłumów, przejechał udekorowanemi pięknie ulicami Podwalem, Straszewskiego, Podzamczem, Grodzką na Stradom. I tu po obu stronach ulic witały Marszałka szpalery młodzieży szkolnej, oraz liczne zastępy publiczności.

Przed gmachem D. O. K., gdzie przygotowano mieszkanie dla marszałka Focha, stanęły szeregi górników umundurowanych z Jaworzna, Sierszy i Zagłębia Dąbrowskiego, oraz zastępy skautów i skautek ze sztandarami.

Gdy powóz z marszałkiem Fochem zatrzymał się przed gmachem D. O. K., orkiestra wojskowa zagrała „Marsyliankę" a kompania honorowa prezentowała broń. Marszałek wysiadł z powozu zarzuconego stosami kwiatów i przeszedłszy przez szpaler małych dzieci w strojach krakowskich z zakładu Sióstr Szarytek, udał się do wnętrza gmachu.

Jeszcze przez dłuższy czas licznie zebrana publiczność wznosiła okrzyki na cześć dostojnego gościa, poczem tłumy i uczestnicy pochodu poczęli odpływać ku miastu.

O godz. 12 w południe wojewoda Gałecki podejmował śniadaniem marsz. Focha, który następnie z gmachu województwa udał się na ćwiczenia wojskowe w okolicy Pasternika. Orszak jechał samochodami, otoczony przez 200 Krakusów na koniach. W drodze przez Bronowice zatrzymał się marszałek Foch u bramy tryumfalnej, gdzie zebrane włościaństwo z Bronowic i okolicy powitało chlebem i solą bohatera Francyi. Do dostojnego gościa przemówił p. Włodz. Tetmajer, przybrany



Marszałek Foch w Krakowie: Nabożeństwo na Rynku krakowskim. Marszałek Foch udaje się przed ołtarz polowy.

w kontusz. Zaznaczył on, że wita we wsi polskiej bohatera, który walczył za wolność Francyi i Polski. Następnie przemówiła jedna z wieśniaczek, poczem marszałek Foch przeszedł wśród dzieci wiejskich, zwracając się do nich uprzejmie.

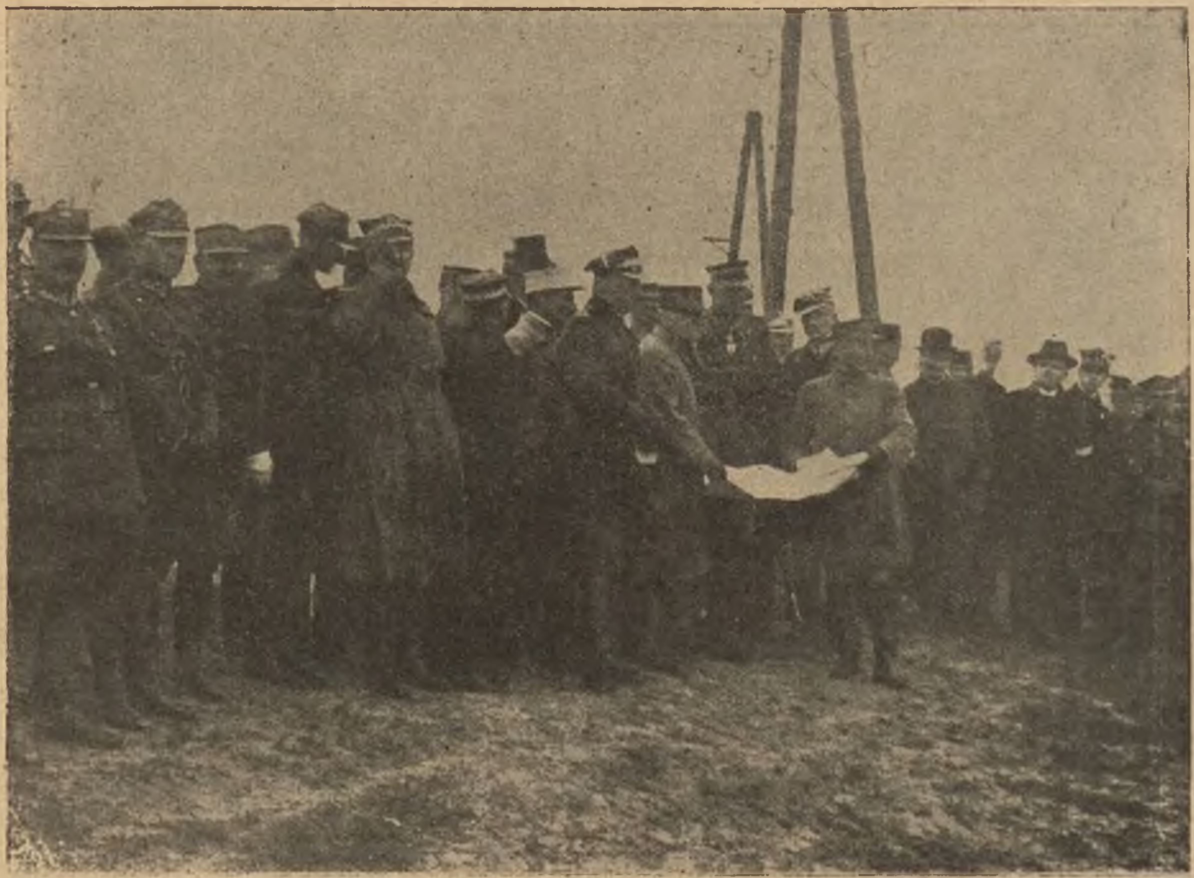
Marszałek przeszedł ze świtą piechotą przez wieś, poczem wsiadł do samochodu. Na dany znak ruszył cały orszak w otoczeniu banderyi Krakusów na pole ćwiczeń koło fortu na Pasterniku.

Po godz. 3 po poł. rozpoczął się atak piechoty na Pasternik, popierany przez silną kanonadę artyleryi. Walka rozgrywała się na terenie pagórkowatym, odkrytym, na przestrzeni od Mydlnik do Bronowic Wielkich półkolem. Oddziały atakujące (opaski niebieskie) powoli posuwały się na wzgórza, ustawicznie ostrzeliwane gestym ogniem artyleryi i piechoty oddziałów obronnych (opaski czerwone).

W bitwie brały udział ze strony zaczepnej batalion 20 p. p. (kapt. Konkiewicz) i jedna baterya 6 p. artyleryi polnej, zaś ze strony obronnej batalion piechoty (kapt. Wilczyński), baterya artyleryi i karabiny maszynowe. Walka zakończyła się po trzech godzinach zwycięstwem oddziałów nacierających, poczem nastąpiło omówienie przeprowadzenia bitwy.

Po omówieniu walki odbyła się na drodze do Bronowic defilada wojsk przed marszałkiem Fochem i jeneralicyą. Powrót z ćwiczeń nastąpił koło godz. 7 wieczorem.

W drugim dniu pobytu w Krakowie marsz. Foch odbył konferencye wojskowe z przybyłym z Warszawy marszałkiem Piłsudskim i jeneralicyą



Marszałek Foch w Krakowie: Marszałek Foch w czasie ćwiczeń wojskowych na Pasterniku.



Marszałek Foch w Krakowie: Marsz. Foch obserwuje ćwiczenia wojskowe na Pasterniku.

Odbyła się również wielka uroczystość na Wszechnicy Jagiellońskiej, która złożyła hołd zwycięskiemu wodzowi francuskiemu. Uroczystości dnia drugiego zakończył raut w Starym Teatrze, wydany przez Radę m. Krakowa na cześć marszałka Focha.

Niedzielne uroczystości rozpoczęły się nabożeństwem na Rynku krakowskim. Już na długo przed 10 rano kordony policyi i żandarmeryi zamknęły dostępy do Rynku — wcześnie też zaczęły gromadzić się rzesze publiczności. Liczne oddziały wojska wypełniają Rynek. Od strony linii C—D stanęły szwadrony 8 p. ułanów, lśniąc w słońcu lufami karabinów, srebrem szabli i lanc. Pod arkadami Sukiennic, przystrojony zielenią i sztandarami o barwach polsko-francuskich, stoi ołtarz polowy. Koło ołtarza las chorągwi cechowych. Zjawiają się kolejno delegacye władz, konsulowie, senatorowie i posłowie i t. d.

Około godz. 10 nadjechał samochodem marsz. Foch w towarzystwie min. spraw wojsk. Sosnkowskiego i świty. Orkiestra odegrała Marsyliankę i hymn narodowy polski, wojsko sprezentowało broń, jen. Szeptycki złożył raport. Przed frontem wyciągniętych w kilku szeregach wojsk przechodzi Marszałek, mierząc wzrokiem — z widocznem zadowoleniem — doskonałą postawę wyciągniętych jak struna żołnierzy.

Na stopniach ołtarza staje kapelan generalny ks. Niezgoda — rozpoczyna się msza św. Chór „Echa“ wykonuje kilka pieśni, płyną dźwięki orkiestry.

Po nabożeństwie nastąpił akt pasowania na kawalerów Legii Honorowej. Na czele oddziałów wojska, które sprezentowało broń, stanęli w szeregu oficerowie, mający otrzymać odznaczenia, za nimi — z dobytemi szablami, jenerałowie odznaczeni krzyżem „Virtuti Militari“, a więc jen. Szeptycki, Rozwadowski i inni.

Marszałek odczytuje nazwiska odznaczonych którymi są: jen. bryg. Kostecki, jen. Ledóchowski ppułk. Langauer, Łuczyński, Bystram. kpt. Korab-Laskowski, palmę Legii otrzymał por. Dziešlewski. Marszałek własnoręcznie przypina im na piersiach krzyże z czerwonemi wstęgami, całując zarazem odznaczonych.

Gdy w Rynku odbywała się jeszcze uroczystość — policya i żandarmerya zamknęły tymczasem ulice św. Anny i Jagiellońską, tudzież część plant u wylotu ulicy Wolskiej, gdzie miała się odbyć defilada. Wkrótce przybywa tam pieszo marsz. Foch, witany tysiącznymi okrzykami: „Niech żyje!“ Przy dźwiękach marsza przechodzą przed Marszałkiem zwarte oddziały piechoty pod dowództwem jen. Tinza. Za chwilę zmienia się obraz. wśród żywych dźwięków orkiestry nadjeżdżają szwadrony 8 pułku ułanów im. Ks. Poniatowskiego. witane burzliwymi oklaskami. Mijają szybko, jak barwny obraz w kalejdoskopie. Zdaleka dochodzą już głuche dudnienia — ziemią wstrząsa hurko tętniących po bruku dział. Ukazują się zielono czarne chorągiewki na lancach artyleryi konnej



Z pobytu marszałka Focha w Polsce: Prymas kardynał Dalbor oczekuje przybycia marsz. Focha przed farą w Poznaniu. Aj. Fot. w Warszawie.

J. PICKOWNA.

TAJEMNICZY WĘZEŁ

2.)

Zosia zabiera się do pracy, bierze przedmiot po przedmiocie i zawiesza na gałązkach, porusza się szybko, ręce jej drżą.

W sercu dziwnie, przykro i słodko zarazem, małe serduszko trzepocze się, jak ptak, na coś oczekuje, czegoś się lęka... a myśli tak się plączą.

Takie to wszystko niespodziewane, takie niezwykłe, takie... Okęcki... wilia... Wanda... Chwilami Zośka pojmuje, że on żyw, że wraca, to znowu z przyzwyczajenia wzdycha ciężko i ten smutek, który dławił ją lata całe, znów kładzie swe łapy na duszy, tak z przyzwyczajenia... bo dziewczyna nie wie doprawdy snem to wszystko czy rzeczywistością, tak długo żyła w trosce i niepokoju, że dziś pojąć nie może, iż żyć można inaczej.

Tak, wielkie szczęście czy nieszczęście nam ludziom zawsze snem się wydaje dręczącym lub cudownym, ale z którego lada chwila obudzić się przyjdzie... a czemże innem są one w istocie swojej, a czemże innem jest życie całe?

Potem zaś Zosia z trwogą myśli o tem, co powiedzieć mu, gdy przybędzie, jak przygotować... Układa drobiazgowo rozmowę, lecz w tem jak błyskawica oślepia ją znowu myśl, że przecież to on, on Stanisław Okęcki, ten sam, którego znała przed laty, będzie tu wkrótce, u nich, w Zagajach i ona ujrzy te pogodne, kochane oczy, to szlachetne czoło... usłyszy ten głos silny, głęboki... Bierze ją na chwilę w posiadanie fala rozmarzenia, miękka, leniwa... I znów wytryska radość, jak rakieta... Ta radość jest zbyt, zbyt wielka... A potem lęk, może on zachorował w drodze, ile rzeczy strasznych może się zdarzyć... I rozstrojone nerwy każą jej myśleć o katastrofach kolejowych. Lecz nagle Zosia uśmiecha się promiennie i składa ręce jak do modlitwy: „Boże dobry, Boże litościwy, jeśli ustrzegłeś go do tej pory, to czy mógłbyś dziś..." i wielka, przesłodka wdzięczność zalewa jej duszę aż po brzegi. Bo dla serca wierzącego przeświadczenie, że modlitwa wysłuchaną została... kwiatem jest mistycznym, cudem widzialnym, wieczystem źródłem ufności i siły!

Zosia bierze przedmiot po przedmiocie i zawiesza na gałązkach jodły. Zegary wydzwaniają szóstą godzinę i znowu cisza, tylko psy czasem zaszczekają w ogrodzie.

Potem za oknami ktoś cicho rozmawia z starym Andrzejem, rozlegają się kroki w sieniach, ktoś zatrzymuje się przed progiem salonu, kładzie rękę na klamce...

Zosia stoi właśnie na krześle i przywiązuje gwiazdę na wierzchołku drzewka.

Odwraca się i jej spojrzenie nieprzytomne zdumieniem i tem szczęściem, co graniczy z przestrachem oko w oko spotyka się z spojrzeniem Stacha Okęckiego.

I dziewczyna stoi jak skamieniała na podwyższeniu, przyciskając dłonie do serca.

— Zocha!

Okęcki podbiega ku niej, wyciągając ręce, oczy mu świecą radością, śmieją się usta, zęby, śmieje twarz cała. Chwyta jej obie rączki i podnosi do ust, naprzemian prawa lewa, prawa lewa...

Wybucha wreszcie śmiechem.

— Zośka! bój się Boga! zmieniłaś się w słup soli, jak żona Lota... witasz mię, jakbym powracał z tamtego świata... Zejdźże nareszcie z tego piedestału! No hop!

Trzyma silnie obie jej dłonie i zmusza dziewczynę do skoku.

Stoją naprzeciwko siebie, blada, drżąca dziewczynka i ten rozwichrzony, radosny chłopak.

— Zośka przemów nareszcie... to ja we własnej osobie, Stanisław Okęcki... nie patrz na mnie, jak na upiora...

Wtedy ona szepcze cichutko:

— Tak istotnie witam pana, jakbyś powracał z tamtego świata, bo my... to jest... dopiero dziś dowiedzieliśmy się...

— Coście się dowiedzieli?

— Że pan żyje...

Tu łzy rzucają się do oczu Zosi i płacz wstrząsa nią gwałtowny a miły.

— Co? Co?... Pogrzebaliście mię?... — Stach zanosi się śmiechem tak serdecznym, że nie może nad nim zapanować przez długą chwilę.

Lecz widząc łzy Zosi, ujmuje ją łagodnie za rękę, prowadzi ku kanapie i sam siada koło niej.

— No nie płacz Zosiu... — prosi i gładzi miękko jej dłoń, spoglądając z czułością na tę drobną, dziecinną twarzyczkę.

Wreszcie dziewczyna uspokaja się, podnosi ku niemu swe piwne źrenice o przeźroczystości bursztynu, oprawne w długie, zafryzowane rzęsy, w których skrętach tulą się jeszcze perełki łez.

— Panie Stachu... mieliśmy pewne wiadomości, że pan zginął, uwierzyli wszyscy...

— I ty Zosiu?

— Nie mogłam...

— Dlaczego?

Lecz tu ona płomienieje nagle i milknie zmięszana.

— Dlaczego? no powiedz! — Stach widząc jej rumieńce, naciera tem gwałtowniej.

— Bo... bo przecież modliłam się tak... że nie mogłam uwierzyć, aby...

Okęcki poważnieje nagle, jakaś myśl przebiega mu pod gładkiem czołem, wpatruje się długo, uporczywie w oczy dziewczęcia, tak, iż ona różowieje znowu i spuszcza powieki.

Chwila milczenia.

A potem on zapytuje głosem zmienionym wzruszeniem:

— Ty Zosiu modliłaś się za mną... modliłaś się gorąco?...

— Tak, panie Stachu — odpowiada cichutko.

I znów zapada milczenie, ale głębsze niż poprzednio, a w czasie tego myśl Zosi pracuje rozpaczliwie.

— Jakie to dziwne, czemu on o Wandę nie pyta... Czyżby już wiedział? W takim razie czemu przybył tutaj?

Zosia zrywa się.

— Panie Stachu, ja powiem rodzicom, widocznie nie wiedzą, że pan przyjechał...

— Tak, w istocie... ale Zośka — zatrzymuje ją za rękę — jeszcze chwilkę, sam nie wiem... takie są niezwykle rzeczy na świecie, chciałem ci opowiedzieć...

Zośka zostaje, lecz on nie opowiada, siedzi w zadumie, coś rozważa, przygląda jej się uważnie, obserwuje jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Dziewczynie jest nieswojo pod tem spojrzeniem, nieswojo w tej ciszy, nieswojo z tą wiadomością, którą musi mu wyjawić za chwilę... Ale zarazem czuje, że nie zniesie dłużej tego milczenia i nagle, gwałtownie wybucha:

— Pan o Wandę nie pyta?!

— Ach... o Wandę!

Jest w tym wykrzykniku zdumienie człowieka, którego wyrwano ze snu bardzo głębokiego, przeciera dłonią czoło, snadź, że z trudem zbiera rozpierzchnięte myśli.

— Prawda, Wanda — mówi cicho sam do siebie i podnosi oczy ku Zosi — Zosiu... Wanda, gdzie Wanda?

Siostra zaś Wandy wyrzuca tchem jednym:

— Wyszła za mąż przed rokiem... i natychmiast przerażona własnemi słowami, chce uspokajać, tłómaczyć — Bo widzi pan, pan nie może sądzić jej surowo — wszyscy mówili, że pan nie żyje, ona uwierzyła.

— Tak, uwierzyła — powtarza Stanisław i o dziwo na twarzy jego nie znać ani bólu ani zdumienia.

Milczy a potem patrząc uważnie w twarz dziewczyny, mówi powoli, jakby rozważając:

— Tak, ona uwierzyła, czyż mogło być inaczej... a ty Zosiu nie uwierzyłaś... tak... tak jedna miłość tylko nie myli się, ona jedna prawdę odgaduje.

— Panie Stachu, niech pan nie potępia.

— Nie Zosiu... nie... wiesz ja o tem wiedziałem — to jest nie wiedziałem, ale ja to czułem, tam daleko... ona nie była przy mnie sercem ani myślą... Wiesz, ja dziś nie potrafię już wywołać przed swemi oczyma wizyi jej twarzy — to trwa od miesięcy — ona nie mogła być inną — „Wanda jednodniówka" — pamiętasz? tak przecież nazywali ją wszyscy. Bóg z nią. Czyż mógłbym potępiać.

— Słuchaj Zosiu.. Była raz na froncie noc jesienna, przeraźliwie zimna, jedna z wielu, przepędziłem ją w małej kapliczce — Widzisz Zosiu — mistykiem nie jestem ale ja człowiek zwykły ślepym być nie mogę na rzeczy te niewidzialne a przecież tak wyczuwalne uczuciem. — Dziś jeszcze ciężko zebrać myśli, ciężko pojąć siebie ale to czuję — i to czujesz ty również — Tu ujmuje jej obie ręce i spogląda wprost w jej wielkie, rozwarte źrenice.

— Tak, czujemy oboje, że te ciężkie, te straszne, smutne lata zawiązały pomiędzy mną a tobą tajemniczy węzeł — silny, silny węzeł. Zdaje mi się, że z czasem odgadniemy to „jedyne słowo", które leży na dnie tajemnicy.

KONIEC.

A. CONAN DOYLE.

De Profundis

Tłómaczył Z. Bodeński.

Dopóki oceany są wiązaniami, łączącemi szeroko rozpostarte imperyum brytyjskie, dopóty w umysłach naszych tkwić będzie pewien odcień romantyczności. Bo wody wywierają wpływ na duszę, podobnie jak księżyc na wody i, gdy gościńce imperyum biegną takimi szlakami, jak te, tak pełnymi dziwnych widoków i dźwięków, z wiecznie czyhającem po obu stronach niebezpieczeństwem, tępy to zaiste musiałby być umysł, któryby nie uniósł ze sobą pewnych śladów takiej przeprawy. Teraz zaś, Brytania leży daleko poza sobą samą, gdyż trzymilowa strefa każdego wybrzeża stanowi jej granicę, zdobytą raczej młotem, kilofem i warsztatem tkackim, niż sztuką wojenną. Jest bowiem zapisane w historyi, że żaden król ani armia nie może zagrodzić drogi człowiekowi, który mając trzy pensy w swej skarbonce i dobrze wiedząc, w jaki sposób może z nich zrobić trzy, skieruje całą swą energię ku temu jednemu celowi. A w miarę jak ta granica rozszerzała się, rozszerzał się i umysł brytyjski, aż wszyscy mogą wiedzieć, że zwyczaje wyspy są kontynentalne, tak jak zwyczaje kontynentu wyspiarskie.

Lecz zato należy zapłacić cenę, a cena ta jest bolesna. Jak zwierz w dawnych czasach musiał co roku dostawać w daninie młode życie ludzkie, tak i naszemu imperyum rzucamy z dnia na dzień kwiat naszej młodzieży. Maszyna jest wszechświatowa i potężna lecz jedynem paliwem, które ją porusza, są życia mężów brytyjskich. Toteż w mroku starożytnych katedr, rozglądając się po tablicach spiżowych na ścianach, widzimy dziwne nazwy, o jakich ci, którzy te mury wznosili nigdy nie słyszeli, bo młodzież ginie w Pashawur, Umballi, Korti i w forcie Pearsona, zostawiając za sobą tylko przykład i tablicę spiżową. Lecz gdyby każdy miał swój obelisk, tam właśnie, gdzie leży pochowany, nie potrzebaby wytyczać linii granicznej, gdyż kordon grobów brytyjskich wskazywałby na wieki, jak wysoko wzniósł się przypływ anglo-celtycki.

To zatem, zarówno jak i wody łączące nas ze światem przyczyniło się nieco do zabarwienia nas romantycznością. Bo gdy tylu ma swych ukochanych za morzami, kroczących wśród kul górali i malaryi bagiennej, gdy śmierć przychodzi nagle, a odległość jest wielka, wówczas duch obcuje z duchem i powstają dziwne historye o snach, przeczuciach i widzeniach, w których matka widzi umierającego syna i, nim nadejdzie wiadomość, która powinna była być pierwszym zwiastunem tej wieści, już jej pierwszy żal minął. Uczeni w ostatnich czasach wglądnęli w tę sprawę i nawet nadali jej osobną nazwę; lecz cóż o niej więcej możemy wiedzieć, prócz tego, że biedna udręczona dusza, gdy znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie, może przesłać przez całą ziemię na odległość dziesięciu tysięcy mil obraz swojej niedoli najpokrewniejszemu sobie umysłowi. Broń Boże, bym miał powiedzieć, że nie tkwi w nas taka moc, albowiem ze wszystkich rzeczy, które mózg pojmie, on sam będzie ostatnią; jednakże dobrze jest być bardzo ostrożnym w takich sprawach, gdyż raz przynajmniej poznałem fakt, który mieścił się w granicach praw natury, a zdawał się leżeć poza ich obrębem.

John Vansittart był młodszym wspólnikiem firmy Hudson i Vansittart, eksporterów kawy z wyspy Ceylon. Był on w trzech czwartych Holendrem z pochodzenia, lecz z przekonania całkowicie Anglikiem. Od lat byłem jego agentem w Londynie i, gdy w roku 1872 przyjechał do Anglii na trzymiesięczny urlop, zwrócił się do mnie o listy polecające, które pozwoliłyby mu zobaczyć nieco życia miejskiego i wiejskiego.

Uzbrojony w siedem listów opuścił moje biura i przez wiele tygodni urywki listów z różnych stron kraju dawały mi znać, że znalazł łaskę w oczach mych przyjaciół. Potem nadeszła wiadomość o jego zaręczynach z Emilią Lawson, z młodszej linii Lawsonów z Hereford, a zaraz po pierwszej pogłosce wieść o jego stanowczym ślubie, gdyż staranie się wędrowca musi być krótkie, a zbliżał się już termin jego powrotnej podróży.

Mieli wrócić razem do Colombo na jednym z własnych tysiąc tonnowych żaglowców firmy i miał to być ich księżycy miesiąc miodowy, łączący przyjemne z pożytecznem.

Były to królewskie dni plantacyi kawy na Ceylonie, zanim grzybek toczący nie popchnął całej społeczności przez lata rozpaczy do jednego z największych zwycięstw handlowych jakie odniosło kiedykolwiek męstwo i pomysłowość. Nie często się zdarza, by ludzie po upadku jednego wielkiego przemysłu mieli odwagę wytworzyć w kilka lat drugi, tak bogaty, by zajął jego miejsce. Toteż pola herbaciane Ceylonu są równie prawdziwym pomnikiem męstwa, jak lew pod Waterloo. Lecz w 1872 nie było jeszcze ani chmurki na horyzoncie i nadzieje plantatorów były tak wysokie i jasne, jak zbocza gór, na których hodowali swe plony. Vansittart przyjechał do Londynu ze swą młodą i piękną żoną. Przedstawiono mnie jej, byłem u nich na obiedzie a nakoniec umówiliśmy się, że ponieważ i mnie interesa powoływały na Ceylon, będę ich towarzyszem podróży na „Gwieździe Wschodniej", której odjazd był naznaczony na następny poniedziałek.

W sobotę wieczór znów go zobaczyłem Wprowadzono go na górę do mojego mieszkania o dziewiątej w nocy. Był przygnębiony i miał ponurą minę. Jego ręka, gdy ją uścisnąłem była gorąca i sucha.

— Chciałbym Atkinsonie — rzekł — by mi pan mógł dać trochę lemoniady. Mam szalone pragnienie i im więcej piję, tem więcej zdaje się potrzebować.

Zadzwoniłem i kazałem przynieść karafkę i szklanki.

— Jesteś pan zgrzany — zauważyłem. — Wyglądasz pan jakoś niezwykle.

— Ależ przeciwnie, straciłem rumieńce. Mam trochę reumatyzmu w plecach i jedzenie mi jakoś nie smakuje. To ten podły Londyn mnie dusi. Nie przywykłem do oddychania powietrzem, które zostało zużyte przez cztery miliony płuc, wdychających je ze wszystkich stron. — Przycisnął zakrzywione dłonie do twarzy, jak człowiek, który rzeczywiście nie może złapać tchu.

— Powietrze morskie wnet pana postawi na nogi.

— Tak. — W tem się z panem zgadzam. Tego mi właśnie trzeba. Nie potrzebuję innego doktora. Jeśli jutro nie dostanę się na morze, napewno się rozchoruję. Niema co do tego dwu zdań. — Wypił szklankę lemoniady i przycisnął sobie ręce zgięte w przegubie do krzyżów.

— To mi sprawia ulgę — rzekł patrząc na mnie mętnym wzrokiem — A teraz potrzebuję pańskiej pomocy Atkinsonie, gdyż znajduję się w nieco kłopotliwem położeniu.

— Jakże to?

— W ten sposób mianowicie. Matka mojej żony zachorowała i zatelegrafowała po nią. Nie mogłem z nią pojechać — sam pan najlepiej wie, jak byłem zajęty — musiała więc pojechać sama. Teraz dostałem drugą depeszę, donoszącą że nie może przyjechać jutro, lecz że dogoni okręt w Falmuth we środę. Jeżeli tam zawiniemy, wie pan, i tam, chociaż uważam za rzecz trudną, by żądać od człowieka, żeby uwierzył w tajemnicę i był przeklęty, jeśli tego uczynić nie zdoła. Przeklęty, uważa pan, ni mniej ni więcej. — Pochylił się naprzód i zaczął nierówno oddychać, jak człowiek mający lada chwila wybuchnąć płaczem.

Wówczas po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że słyszałem wiele o pijackiem życiu wyspy i, że te szalone słowa i rozpalone ręce były skutkiem wódki. Wypieki na policzkach i szkliste oczy były jak u człowieka pijanego. Przykro było patrzeć na tak szlachetnego młodego mężczyznę, opanowanego przez najbardziej zwierzęcy ze wszystkich nałogów.

— Powinien pan się położyć — rzekłem nieco surowo.

Przymrużył oczy, jak człowiek usiłujący się obudzić i popatrzył na mnie ze zdziwioną miną.

— Wkrótce to zrobię — odrzekł całkiem rozsądnie. — Przed chwilą w głowie mi się zamąciło lecz teraz znów panuję nad sobą Zaraz, o czemżeśmy rozmawiali? Ach, tak, o mojej żonie. Wsiada na okręt w Falmouth. Otóż ja chcę tam pojechać morzem. Zdaje mi się, że od tego zależy moje zdrowie. Trzeba mi tylko trochę czystego powietrza, by mnie znów postawić na nogi. Proszę pana, jako dobrego przyjaciela, by pan zechciał udać się koleją do Falmouth, tak, by w razie naszego spóźnienia módz się zająć mą żoną. Proszę zajechać do Hotelu Królewskiego, a ja jej zatelegrafuję, że pan tam jest. Siostra ją odwiezie.

— Uczynię to z przyjemnością — odpowiedziałem. — Istotnie wolałbym pojechać koleją, bo morza będziemy mieć aż zanadto, nim się dostaniemy do Colombo. Zdaje mi się również, że gwałtownie potrzebuje pan zmiany. Na pańskiem miejscu położyłbym się do łóżka.

— Dobrze. Będę spał trzy nocy na pokładzie. Wie pan — ciągnął dalej, a oczy jego znów stały się nieprzytomne — niedobrze spałem przez kilka ostatnich nocy. Niepokoiły mnie teolog — to znaczy teologiczne — do licha — z rozpaczliwym wysiłkiem — wątpliwości teologów. Zastanawiałem się, dlaczego Wszechmocny nas stworzył i dlaczego nam dał zawrót głowy i te bóle w krzyżach. Może tej nocy lepiej mi pójdzie. — Wstał i oparł się z wysiłkiem o poręcz krzesła.

— Słuchajno Vansittart — rzekłem poważnie, przystępując do niego i kładąc mu rękę na ramieniu — mogę pana tu przenocować. Nie jest pan w stanie wyjść. Musiał pan zaglądnąć do kielicha.

— Do kielicha! — popatrzył na mnie tępym wzrokiem.

— Miał pan zazwyczaj tęższą głowę do trunków, niż tym razem.

— Daję panu słowo, że nie piłem nic od dwu dni. To nie picie. Nie wiem co to takiego. — Chwycił mą dłoń w swój rozpalony uścisk i przesunął nią po swem czole.

— Wielki Boże! — zawołałem.

Skóra jego w dotyku podobna była do aksamitu, pod którym leżała zbita warstwa śrutu. W każdem miejscu była gładka w dotknięciu, lecz gdy się przesuwało po niej palec, była nierówna jak tarło.

— Wszystko w porządku — rzekł, uśmiechając się na widok mej przestraszonej twarzy. — Miałem już niemal równie wielkie wypryski od gorąca.

— Ale te nie są wcale od gorąca.

— Nie, to ten Londyn i oddychanie złem powietrzem. Ale jutro będę zdrów. Zresztą mamy chirurga na pokładzie, więc będę w pewnych rękach. A teraz muszę już odejść.

— Nie pójdzie pan — zawołałem. — To nie żarty. Nie odejdzie pan stąd, póki pana doktor nie oglądnie. Proszę tylko zaczekać.

Chwyciłem kapelusz, pobiegłem po mieszkającego w sąsiedztwie lekarza i sprowadziłem go ze sobą. Pokój był próżny, a Vansittart wyszedł. Zadzwoniłem; służący powiedział, że ten pan zamówił dorożkę zaraz po mojem odejściu i w niej odjechał. Kazał się woźnicy zawieźć do doków.

— Czy wyglądał na chorego? — zapytałem.

— Odzietam! — służący uśmiechnął się. — Śpiewał przez cały czas co sił.

Ta informacya nie była tak uspakająca, jak to służący zdawał się mniemać, lecz zastanowiłem się, że jechał wprost na „Gwiazdę Wschodnią" i, że na jej pokładzie znajdował się doktor, tak że nic w tej sprawie nie mogłem uczynić. Mimo to wszystko, myśląc o jego pragnieniu, rozpalonych dłoniach, sennych oczach i plączącej się wymowie, zabrałem ze sobą do łóżka niemiłe wspomnienie o mym gościu i jego wizycie.

Nazajutrz o jedenastej udałem się do doków, lecz „Gwiazda Wschodnia" popłynęła już w dół rzeki i znajdowała się niemal pod Gravesend. Pojechałem koleją do Gravesend, lecz ujrzałem

już tylko jej maszty w oddali, a przed nią pióropusz dymu holownika. Gdy wróciłem do biura, czekał na mnie telegram od pani Vansittart, z prośbą bym się z nią spotkał; a następnego wieczora znaleźliśmy się oboje w Hotelu Królewskim w Falmouth, gdzie mieliśmy czekać na „Gwiazdę Wschodnią". Dziesięć dni minęło bez wieści o niej.

Były to dnie, o których nigdy chyba nie zapomnę. Tego samego dnia, którego „Gwiazda Wschodnia" wypłynęła z Tamizy, zerwał się wściekły wicher wschodni i dął bez uspokojenia się przez większą część tygodnia. Nigdy nie pamiętano na wybrzeżu południowem takiej wyjącej, rozszalałej, przewlekłej burzy. Morze widoczne z naszych okien hotelowych było małe, zasnute mgłą, prócz małego, smaganego deszczem półkola tuż przed naszemi oczyma, skłębionego i zbałwanionego w jedną przestrzeń piany. Wicher był tak gwałtowny, że mogły się wznosić tylko niewielkie fale, gdyż zrywał on czub każdego bałwana i rzucał go przez całą szerokość zatoki. Chmury, wiatr i fale, wszystko pędziło na zachód, a ja patrząc na ten oszalały zamęt żywiołów, czekałem tam dzień za dniem, mając za jedyną towarzyszkę bladą, milczącą kobietę z przerażeniem w oczach, która od rana do nocy z czołem przyciśniętem do okna wpatrywała się w ten mur szarej mgły, przez którą mógł zamajaczyć odległy okręt. Nic nie mówiła, lecz twarz jej była jednym przeciągłym jękiem obawy.

Piątego dnia poradziłem się starego marynarza. Wolałbym to był uczynić sam, lecz ona, widząc, że z nim rozmawiam, znalazła się przy nas w jednej chwili z rozchylonemi wargami i prośbą w oczach.

— Siedm dni od wypłynięcia z Londynu, a pięć w burzy — mówił. — No, wicher wymiótł wszystkie okręty z kanału. Otóż zachodzą trzy możliwości. Mógł zawinąć do portu na francuskim brzegu. To wcale możliwe.

— Nie, nie; wiedział gdzie jesteśmy i zatelegrafowałby do nas.

— Ach, tak! No, w takim razie musiał popłynąć dalej, a jeśli to zrobił, musi być teraz gdzieś niedaleko Madeiry. Tak będzie napewno, może się pani na to spuścić.

— Albo też? Mówił pan, że zachodzi jeszcze trzecia możliwość.

— Tak mówiłem? Nie, sądzę, że tylko dwie. Nie zdaje mi się, żem coś mówił o trzeciej. Niech się pani na to spuści, że pani okręt jest tam na Atlantyku i wnet pani o nim usłyszy, bo pogoda się zmienia. Proszę się nie gryźć i czekać w spokoju, a jutro zobaczy pani prawdziwe błękitne kornwalijskie niebo.

Stary marynarz trafnie przewidywał, bo następny dzień nastał jasny i spokojny i jedynie mała chmurka nisko na zachodzie oznaczała ostatnie pasma przeciągającej burzy. Lecz wciąż jeszcze nie pojawiała się żadna wiadomość z morza, ani żaden znak okrętu. Minęły jeszcze trzy nudne dni, najnudniejsze, jakie przeżyłem, aż nadszedł do hotelu jakiś żeglarz z listem. Wydałem okrzyk radości. Był on od kapitana „Gwiazdy Wschodniej". Czytając pierwsze słowa, zasłoniłem list dłonią, lecz ona położyła na niej swoją rękę i odsunęła ją.

— Widziałam to już — rzekła swym chłodnym spokojnym głosem. — Mogę również zobaczyć i resztę.

— Szanowny Panie! — brzmiał list. —

Pan Vansittart jest chory na ospę, a burza tak daleko spędziła nas z naszej drogi, że nie wiemy co począć, ponieważ on, będąc nieprzytomny, nie jest w stanie nam tego powiedzieć. Rachując na ślepo, jesteśmy oddaleni tylko o trzysta mil od Funchalu, tak iż sądzę, że najlepiej będzie pojechać tam, oddać pana V. do szpitala i zaczekać w zatoce, aż do pańskiego przybycia. Dowiaduję się, że za kilka dni odjeżdża z Falmouth do Funchalu okręt żaglowy. List niniejszy przesyłam brygiem „Marian" z Falmouth, a kapitanowi jego należy się pięć funtów.

Z poważaniem

Ino Hines.

Cudowna z niej była kobieta, tylko dziewczynka prosto ze szkoły, a tak spokojna i silna jak mężczyzna. Nie odezwała się ani słowa, tylko zacisnęła mocno wargi i włożyła na głowę kapelusz.

— Wychodzi pani? — zapytałem.

— Tak jest.

— Czy mógłbym pani na co się przydać?

— Nie, idę do doktora.

— Do doktora?

— Tak. By dowiedzieć się, jak pielęgnować wypadek ospy.

Była zajęta przez cały wieczór, a następnego rana wyruszyliśmy na Madeirę w barce „Róża Szaronu", przy pięknym wietrze, wiejącym dziesięć węzłów na godzinę. Przez pięć dni posuwaliśmy się szybko naprzód i znajdowaliśmy się niedaleko od wyspy, lecz szóstego nastała cisza morska i leżeliśmy bez ruchu na oleistem wolno wzdymającem się morzu.

Tej nocy o dziesiątej wieczór stałem z Emilią Vansittart w tyle okrętu, opierając się o burtę z lewej strony, a księżyc w pełni świecił nam w plecy, rzucając czarny cień barki i naszych dwu głów na świetlistą wodę. Z tego cienia rozszerzająca się ścieżka blasku księżyca ciągnęła się w dal aż do linii, gdzie morze z niebem się styka, migocząc i mieniąc się od łagodnie wznoszących się fal. Rozmawialiśmy z pochylonemi głowami, gawędząc o ciszy morskiej, o widokach wiatru i o wyglądzie morza, gdy wtem rozległ się nagły plusk i w jasnem świetle John Vansittart wyskoczył z wody i popatrzył na nas.

Nigdy w życiu nie widziałem czegoś wyraźniej, niż tego człowieka. Księżyc świecił wprost na niego i był oddalony tylko o trzy długości wiosła. Twarz jego była bardziej obrzękła, niż wtedy, gdy go po raz ostatni widziałem i tu i ówdzie pokryta była ciemnymi strupami; usta i oczy miał otwarte, jak człowiek ogarnięty jakiemś przemożnem zdziwieniem. Jakaś biała materya spływała mu z ramion, jedną rękę miał podniesioną do ucha, a drugą przyciśniętą do piersi. Widziałem go, jak wyskoczył z wody w powietrze, a fale, jakie wśród jej martwej ciszy wzbudziło jego wypłynięcie, uderzyły o boki okrętu. Następnie postać jego opadła z powrotem do wody i usłyszałem rozdzierający trzeszczący odgłos, podobny do tego, jaki wydaje wiązka chróstu w ogniu w mroźną noc. Gdy znów w tą stronę spojrzałem, nie pozostało z niego ani śladu, lecz szybki wir na spokojnem morzu oznaczał miejsce, gdzie się znajdował. Nie mogłem później powiedzieć, jak długo tam stałem, drżąc na całem ciele, jedną ręką podtrzymując nieprzytomną kobietę, a drugą trzymając się burty statku. Uważano mnie za człowieka powolnego i niepodlegającego wzruszeniom, lecz tym razem przynajmniej byłem wstrząśnięty do głębi. Tupnąłem parę razy nogą o pokład, by się upewnić, że byłem rzeczywiście panem swych zmysłów i, że nie był to jakiś wybryk mego niekiełznanego umysłu. Gdy tak stałem jeszcze pełen podziwu, kobieta zadrżała, otwarła oczy i zaczęła ciężko oddychać, a następnie stając przy burcie, wsparta o nią rękami, zaczęła spoglądać na zalane blaskiem księżyca morze twarzą, która przez jedną noc letnią postarzała się o dziesięć lat.

— Widział go pan? — wyszeptała.

— Widziałeś coś.

— To był on! To John! Nie żyje już!

Wypowiedziałem niezgrabnie kilka słów powątpiewania.

— Niewątpliwie umarł o tej godzinie — wyszeptała. — W szpitalu na Madeirze. Czytałam o takich rzeczach. Myślą był przy mnie i ukazał mi się w widzeniu. O mój Johnie, mój drogi Johnie!

Wybuchła nagle gwałtownym płaczem, więc odprowadziłem ją na dół do kajuty, gdzie pozostała sama ze swym smutkiem. Tejże nocy zaczął wiać tęgi wiatr ze wschodu, a wieczorem następnego dnia minęliśmy dwie wysepki Los Desertos i o zachodzie słońca zarzuciliśmy kotwicę w zatoce Funchalu. „Gwiazda Wschodnia" leżała w niewielkiej odległości od nas z flagą kwarantanny, powiewającą z jej głównego masztu i z banderą opuszczoną do połowy wysokości.

— Widzi pan! — zawołała prędko pani Vansittart. — Nie płakała już, bo wiedziała, że tak będzie.

Tej samej nocy otrzymaliśmy pozwolenie od władz na przeniesienie się na „Gwiazdę Wschodnią". Kapitan Hines czekał na pokładzie, a pomieszanie i smutek walczyły ze sobą na jego szczerej, otwartej twarzy, gdy szukał słów, jakiemi miał jej zakomunikować ciężką wiadomość, lecz ona mu je wyjęła z ust.

— Wiem, że mój mąż nie żyje — odezwała się. — Zmarł wczoraj w nocy w szpitalu na Madeirze, nieprawdaż?

Żeglarz popatrzył na nią z przerażeniem. — Nie, proszę pani. Umarł przed ośmiu dniami na morzu i tam też musieliśmy go pogrzebać, gdyż znajdowaliśmy się w strefie ciszy morskiej i nie mogliśmy wiedzieć, kiedy dopłyniemy do lądu.

Otóż to są najważniejsze fakta w sprawie śmierci Johna Vansittarta i jego pojawienia się żonie, gdzieś około 35 szerokości północnej i 15 długości zachodniej. Rzadko kiedy da się znaleźć oczywistszy wypadek upiora i odtąd mówiono o nim jako o takim i jako taki został też wydrukowany i przyjęty do wiadomości przez towarzystwo naukowe. W tej również postaci wraz z wieloma innymi posłużył do poparcia nowopowstałej teoryi telepatyi. Ze swej strony uważam telepatyę za dowiedzioną, lecz chciałbym wyjąć z pośród dowodów ten jeden wypadek i powiedzieć, iż uważam, że nie był to upiór Johna Vansittarta, lecz sam John Vansittart, którego ujrzeliśmy tej nocy przy świetle miesięcznem, wyskakującego z głębin Atlantyku. Wierzyłem zawsze, że jakimś dziwnym trafem, jednym z tych, które wydają się tak nieprawdopodobne, a jednak tak ustawicznie się wydarzają, cisza morska unieruchomiła nas w tem samem miejscu, gdzie go pochowano przed tygodniem. Zresztą chirurg mówi mi, że ciężarek ołowiany nie był silnie przymocowany i, że siedm dni sprowadza zmiany, które mogą wynieść ciało na powierzchnię. Wypływając z głębiny, w której pogrążył go ciężarek, mógł łatwo osiągnąć taką chyżość, by się całkiem wynurzyć z wody. Takie jest moje własne wyjaśnienie tej sprawy, a jeśli spytacie mnie, cóż w takim razie stało się z ciałem, muszę wam przypomnieć ten trzeszczący, rozdzierający odgłos i wir we wodzie. Rekin żeruje na powierzchni i jest obfity w tych stronach.

KONIEC.

Kronika tygodniowa.

Pierwsza połowa miesiąca maja, przeznaczona na świętowanie i próżniactwo, szczęśliwie przeminęła, rozpoczęła się druga, mniej urozmaicona, ale w każdym razie nie bez pewnych atrakcyi mająca bowiem Zielone Święta z nieodzowną wycieczką na Bielany (o ile oczywiście pogoda i kieszeń dopiszą!...), a zakończona Bożem Ciałem, po którem w tydzień konik zwierzyniecki i właściwy koniec uroczystości wiosennych, skoro dawne wycieczki do Tyńca w dzień św. Piotra i Pawła poszły już zupełnie w niepamięć. Ten i ów zaczyny sobie łamać głowę nad odpowiedzią na pytanie, czy wyjechać na wakacye, dokąd i na jak długo, umysłowo pracujący intelligent musi jednak przyznać, że rozwiązanie tej kwestyi jest trudniejsze, niż problem kwadratury koła lub *perpetuum mobile*. Ochota byłaby, gdyby na to pozwalały zwyczajne lub nadzwyczajne dochody, narazie pozostaje w perspektywie watykańskie *non possumus*.

Kto nie będzie mógł wyjechać w letniej porze na łykanie świeżego powietrza, pociesza się myślą, że tegoroczne lato nie będzie się nadawać do wycieczek, choć bowiem na lipiec zapowiedziano urzędowo kanikularne upały, może się wydarzyć bardzo łatwo, że w rzeczywistości będzie zupełnie inaczej, bo nieomylność meteorologów pozostawia obecnie wiele do życzenia. Na początek maja zapowiedzieli nam przecież silne mrozy i opady śniegowe, a tymczasem gorąco tak się nam dawało we znaki, że szczęśliwy się czuł, kto nosi dziurawe ubranie i ma w ten sposób ułatwioną wentylacyę.

Święty Stanisław, jak to zresztą słusznie przypuszczaliśmy, narobił nam kłopotu dzięki warszawskiemu bezhołowiu, które kazało pracować w ten dzień, przeznaczony od wieków na próżniactwo. Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej nie dziwimy się bynajmniej, że zmęczony urzędowemi przyjęciami prosił, aby mu życzenia imieninowe składano dopiero w dzień Wniebowstąpienia, na to jednak nie zgodzili się nasi Stanisławowie i Stanisławy, wobec czego wytworzył się chaos, podobny temu, jaki wywołało również warszawskie zarządzenie, abyśmy w tym roku święto Zwiastowania obchodzili aż dwa razy. Podobno specyaliści kalendarzowi warszawscy noszą się z myślą, aby raz na zawsze przenieść niedzielę na czwartek, gdyż jest to niewygodne, zwłaszcza dla mniejszości narodowej, iż zmuszoną jest świętować dwa dni jeden po drugim.

Na ubiegły tydzień przypadł w Krakowie trzechdniowy pobyt marszałka Focha witanego z prawdziwym entuzyazmem w całej Polsce. Jej serce, Stary Kraków, nie mógł oczywiście pozostać w tyle i nastroił się do ogólnej nuty. Poraz pierwszy może, od chwili gdy prowadzimy byt samoistny, czuć było ożywiony nastrój, jaki ogarniał wszystkie warstwy naszego społeczeństwa, a że miłego gościa przyjmowano naprawdę serdecznie, dowód choćby w tem, że magistrat miasta zdecydował się raz wreszcie załatać z tego powodu dziury, zdobiące nasze bruki i chodniki, na czem ucierpiał wprawdzie średniowieczny wygląd krakusowego grodu, ale dobrze wychodzą nasze nogi, przedewszystkiem zaś obuwie. Pokazało się przy tej sposobności, że Kraków posiada dość chorągwi, a choć niektóre z nich są czeskie, a nie polskie, ktoby tam uważał na podobną drobnostkę w chwili ogólnego ożywienia. Jednym ze szczegółów dekoracyi miasta była allegorya, umieszczona w oknie wystawowym pewnej firmy w ulicy Floryańskiej, a przedstawiająca Polskę wieńczącą marszałka Francyi, ale prawdopodobnie nie Focha, gdyż postać tam umieszczona zupełnie do niego nie była podobną. Kto widział przejeżdżającego ulicą pełnego życia i werwy Focha i porównał go z tym ledwie na nogach się trzymającym starowiną z za okna wystawowego, musiał przyznać, że to przecież nie jeden i ten sam. Wspaniale przedstawiali się niektórzy członkowie komitetu przyjęcia, trzeba przyznać, że, choć komitet ten wbrew opinii publicznej powołany został do życia, porządek nigdzie nie został zakłócony. Trzeba także przyznać, że pod względem czystości nie przedstawiało miasto wiele do życzenia, a to dzięki ulewnemu deszczowi, wyproszonemu widocznie przez reprezentacyę miejską, który w nocy, poprzedzającej przyjazd marszałka spłukał należycie ulice i place, daleko radykalniej, niż potrafiłby dokonać tego nasz „Palugay". Odczuwać się dawał brak narodowych strojów polskich, których wydobycie na wierzch i przewietrzenie nie byłoby z pewnością zaszkodziło charakterowi Polski demokratycznej, czy chłopskiej, jak się ją tam komu podoba nazywać. W kontuszu wystąpił jedynie prezydent miasta Federowicz i jeśli się nie mylimy, jeden tylko z radców miejskich, było wprawdzie kilka czamarek poza tem, przecież przeważnie fraki, laki i inne międzynarodowe klaki.

Program pobytu marszałka Focha w Krakowie był bardzo urozmaicony, ale nie obeszło się bez bankietu i rautu w sali Starego Teatru, co dało *Kuryerkowi* sposobność do wezwania ogółu, aby się zachowywał przyzwoicie i bardziej salonowo, niż się to działo niejednokrotnie z racyi podobnych uroczystości, kiedy zgłodniała i spragniona gromada rzucała się jak żarłoczne wilki na bufetowe stoły, a jeden i drugi pamiętał nie tylko o sobie, ale i swoich, którzy w domu czekają niecierpliwie na namacalne dowody, że tatuś lub małżonek był w samej rzeczy na bankiecie. Wezwanie to zupełnie słuszne i zupełnie na miejscu, źle jednak świadczy o tem, komu komitet urządzający rozsyła zaproszenia.

Jakie wrażenie zrobiło nasze miasto na francuskim gościu, to on sam wie najlepiej w każdym razie o brak wielkomiejskości nikt nas posądzać nie może, skoro w przeciągu niespełna miesiąca mieliśmy u siebie drugi wybuch bomby, tym razem na Kazimierzu. Za sprawcami obydwu zamachów śledzi policya i jest zdania, że obydwu dokonała jedna i ta sama ręka, choć nie jest wykluczone, że tak nie było. W pierwszym wypadku ujęcie sprawcy byłoby łatwiejsze, w drugim komplikuje się nieco, zwłaszcza, że wezwanie, aby winny zgłosił się dobrowolnie, a otrzyma za to milion w gotówce jako nagrodę, pozostało dotąd bez echa. Łamią sobie ludzie głowę nad tem, dla kogo była przeznaczona druga bomba, nie można bowiem przypuszczać, aby przeznaczoną była dla członków mieszczącego się w tym domu Bundu, celem powiększenia przez nich grona aniołków, gdyż podłożono ją o piętro wyżej. Bardziej wiarygodnem wydaje się być przypuszczenie, że uczynił to jakiś miłośnik Starego Krakowa i jego historyi, chcący ożywić dawne tradycye odpustu w dzień św. Stanisława na Skałce, na który Warszawa urządziła zamach, wprawdzie tylko papierowy, ale w każdym razie mogący mu zaszkodzić. Podkładając bombę w tem miejscu i to w taki sposób, aby narobiła wiele huku, a mało szkody, zwracało się uwagę Krakowian na tę część miasta, a ten i ów mówił sobie:

— Trzeba będzie pójść na Skałkę, a po drodze oglądnę miejsce wybuchu, wracając wstąpię zaś „pod krzyżyk" na lifkę miodu, bo to Warszawa zniosła święto św. Stanisława, więc któż mi zabroni łyknąć sobie choćby nawet ponad miarę...

Gdyby policya w tym kierunku zwróciła swe badania, przynajmniej sprawa drugiego zamachu ruszyłaby nieco z martwego punktu, dodając otuchy, że zamachowiec, czy zamachowcy dostaną się w ręce karzącej sprawiedliwości, a Krakowianie odetchnęliby z ulgą dowiedziawszy się raz przecież, kto dybie na ich całość i bezpieczeństwo, bo, jak dotąd, jesteśmy niczem tabaka w rogu i gubimy się tylko w domysłach, a na każdym mimowoli cierpnie skóra ze strachu bo, co tobie dziś, mnie jutro.

W każdym razie, mając już drugą bombę, a nie wiedząc dla kogo i przez kogo była przeznaczona, mamy też i materyał do dociekań i rozmaitych kombinacyi, a władze bezpieczeństwa niepotrzebny kłopot, wytrącający je z angielskiej równowagi. Nie brak takich, którzy są zdania, że to dzieło zemsty krakowskich „mścicieli", dobierających się do skóry naszych lichwiarzy i paskarzy. Jeśliby tak być miało, to i owszem, ale w danym wypadku należałoby wysadzić w powietrze cały Kraków, bo chyba niema domu, gdzie nie mieszkałby bodaj jeden paskarz lub kandydat na niego. Tej hypotezie zadaje jednak kłam pierwsza bomba, gdyż chyba nikt nie przypuści, aby rektor Natanson mógł mieć coś wspólnego z paskarstwem, a w domu, który on zamieszkuje, innych lokatorów brak. Aby wyświetlić te wątpliwości, jedyny ratunek w dobrowolnem zgłoszeniu się sprawcy, co nastąpi prawdopodobnie wówczas, gdy marka polska nieco się wzmocni, a obiecany milion nagrody osiągnie wyższą wartość, bo, jak na dzisiejsze stosunki walutowe, równa się mniej więcej dawnym stu koronom, a takie wynagrodzenie chyba nikogo znęcić nie potrafi, choćby nawet był najbardziej zdeterminowany.

Skoro mowa o paskarzach, niech nam wolno będzie poświęcić im kilka serdecznych słów, mających być wyrazem uznania dla ich obywatelskiej działalności. Drze z nas skórę każdy i do tego przyzwyczailiśmy się już, ale przecież czasem przydarzy się coś, co może wytrącić z równowagi nawet i naspokojniejszego, tłómaczącego sobie, że widocznie tak być musi, skoro tak się dzieje, a ludzie to tolerują. Nie robi na nas wrażenia sympatyczna rzodkiewka, kosztująca dzisiaj więcej, niż dawniej ananas lub kura, choćby nawet obskubana, za którą trzeba płacić więcej niż gdyby była strojna w strusie pióra, bo jeśli porównamy to z ceną bułki, dawniej centowej, lub pudełka zapałek, dojść musimy do przekonania, że równoważnik ośmiu tysięcy marek za jednego złotego, gdy on się równa dawnej koronie, powoli ale systematycznie się przyjmuje. W cenach niektórych jednak artykułów zachodzą tak widoczne różnice, że musi się przyjąć i zróżnickowanie kasty paskarzy, dzielących się na małych, większych i najwięks ych. I tak zdarzyło się nam przed dwoma tygodniami, że z powodów natury zewnętrznej zmuszeni byliśmy na popełnienie karygodnego wybryku, za jaki uważać należy w obecnych warunkach pozwolenie sobie na kupienie flaszki wina czerwonego, które miało za zadanie naprawić to, co dzisiejsza kuchnia zepsuła. W jednym ze sklepów butelka Erlauera kosztowała ośm tysięcy, w drugim dziewięć, w trzecim natomiast... siedmnaście. Mimowoli nasuwa się na myśl pytanie, co może powodować taką różnicę ceny, skoro sam Erlauer we wszystkich swych trzech wydaniach niczem się nie różnił w smaku, a okres nabywania go trwał nie dłużej, jak dni czternaście. Jeśli kupiec w Rynku Głównym mógł go sprzedać za ośm, ewentualnie dziewięć „lisów", kupiec z ulicy Grodzkiej, żądający za to samo aż siedmnaście zasługuje zatem na nazwę lichwiarza pierwszej klasy, i aż się prosi, abym takim dobrodziejem ludzkości zajęły się odpowiednie, a do tego powołane czynniki. I jak się tu dziwić, słysząc, że dziś kupiec, który przed niedawnym czasem dopiero rozpoczął samoistne prowadzenie interesu, nabył już kamienicę, ma własny automobil i traktuje o kupno większego kompleksu ziemi. Mimowoli żal człowiekowi, że na nieproduktywnych wyższych studyach czas tracił i dziś robi z biedy bokami gdy natomiast innym, którzy we wczesnej młodości wzięli się do praktycznego zawodu, dobrobyt ten boki aż rozpiera. Dziś trudno złe naprawić, można co najwyżej młode pokolenie skierować na praktyczniejszą drogę, niż ta, jaką sobie obrali jego ojcowie. Może ktoś powie, że na tem ucierpi nasza kultura, ale nie odmówi racyi, że ona dzisiaj usposabia do dziadowskiej torby, zatem bez żalu możemy z nią wziąść rozbrat. Jeśli się porówna dzisiejszy los dajmy na to profesora uniwersytetu z jego kolegą z ławy szkolnej, który z drugiej klasy gimnazyalnej, widząc że tam szczęścia nie zrobi, przerzucił się do zawodu handlowego, gdzie przez cztery lata podawał gościom piwo i wódkę, jako praktykant, a po wypisaniu się kontynuował dalej to samo zajęcie jako pomocnik, aż doszedł do własnego interesu i milionowego majątku, przyznać się musi, że ten pierwszy zrobił kolosalne głupstwo i dziś gorzko narzeka na lekkomyślność swych rodziców, którzy pozwolili mu pójść na marne, drugi zaś, nie ryzykując i nie stawiając nawet, wygrał prawdziwe terno na loteryi.

potężne działa i jaszcze, wreszcie — widok na defiladach niezwykły — samochody pancerne, jak potężne żółwie przetaczają swe olbrzymie stalowe cielska przed oczyma Wodza.

Defiladę zamknęła banderya Krakusów.

Żegnany burzliwymi okrzykami: „Niech żyje“— odjechał Marszałek do Teatru Słowackiego na przedstawienie dzieci,

Po południu zwiedził Marszałek pamiątki wawalskie: Katedrę i Zamek, które zrobiły na nim duże wrażenie. Na grobowcu Ks. Józefa złożył kwiaty z napisem na wstędze: „Marszałek Foch marszałkowi Poniatowskiemu“ i modlił się chwilę u trumny. Następnie Marsz. Foch przyjął dziennikarzy krakowskich i warszawskich, a o godz. 9 m. 45 wieczorem nastąpił odjazd. Gdy przybył Marsz. Foch na dworzec, tłumy zgromadzone przed stacyą, powitały go gromkimi okrzykami. Orkiestra zagrała Marsyliankę i hymn narodowy, marszałek odebrał raport kompanii honorowej i uścisnął na pożegnanie dłonie zgromadzonym na peronie dygnitarzom wojskowym i cywilnym. Do prez. Federowicza przemówił:

„Proszę pana, panie prezydencie, aby wobec Rady miejskiej był pan tłumaczem uczuć wdzięczności, jakie żywię dla całej ludności Krakowa. Dnie spędzone w waszem mieście i niezwykłe, z serca pochodzące przyjęcie, będę zaliczał do najmilszych chwil w Polsce“.

Pożegnanie zakończył marszałek słowami: „Do widzenia, panie prezydencie — życzyłbym sobie gorąco znaleźć się jeszcze raz między wami!“

Jeszcze kilka słów pożegnania, jeszcze kwiaty, Marszałek z francuskimi oficerami swej świty wchodzi do wagonu, grzmi „Marsylianka“ i pociąg rusza wśród ogłuszających wiwatów. W pociągu odjechał także jenerał czeski Holy, delegowany przez rząd praski dla powitania marsz. Focha.



Z pobytu marszałka Focha w Polsce: Owacyjne przyjęcie marszałka Focha w Ratuszu poznańskim.
Aj. f. t. w Warszawie.

Z pobytu marszałka Focha w Polsce.

Podróż marszałka Focha po Polsce zamieniła się w jedną nieprzerwaną owacyę. We wszystkich miastach i na dworcach, przez które przejeżdżał marszałek Foch, wylegały niezliczone tłumy, aby powitać wielkiego wodza francuskiego. Szczególnie piękne pryyjęcie zgotowała Drogiemu Gościowi Częstochowa. Na peronie oczekiwali przybycia pociągu przedstawiciele władz miejskich, komp. honorowa 25 pp., członkowie miejscowej kolonii francuskiej, związek sokolski i skauci ze sztandarami oraz duchowieństwo katolickie.

Po wyjściu z wagonu przeszedł Marszałek przy dźwiękach marsylianki i hymnu narodowego w towarzystwie ministra Sosnkowskiego w otoczeniu świty i wyższych oficerów prowadzony przez dowódcę OK. jen. Majewskiego przed frontem kompanii honorowej Pierwszy przemówił starosta Kühn, następnie w imieniu kolonii francuskiej dyrektor fabryki La Chenstochovienne p. Marechalle, potem prezes Rady miejskiej dr. Nowak. Marszałek odpowiadał mówcom krótko, lecz bardzo serdecznie.

Po powitaniu na dworcu udał się cały orszak samochodami do klasztoru jasnogórskiego, wśród szpaleru utworzonego przez szkoły powszechne. Każde z dzieci miało w ręku chorągiewkę o barwach polskich i francuskich. Okrzykom na cześć dostojnego gościa nie było końca. Przed bramą podwórca jasnogórskiego powitał Marszałka przeor Ojców Paulinów ks. Markiewicz w asystencyi wszystkich zakonników, poczem udano się do kaplicy Matki Boskiej, gdzie oczekiwał z rozpoczęciem nabożeństwa ks. biskup Krynicki, który również wygłosł krótką mowę powitalną.

Po nabożeństwie zwiedził marszałek Foch klasztor, poczem udał się na dworzec i żegnany owacyjnie przez tłumy publiczności wsiadł do pociągu, który zawiózł go do Warszawy.

Niemniej gorąco przyjmowano marszałka Focha w Poznaniu. Z powodu uroczyście obchodzonego święta św. Stanisława odbyło się nabożeństwo pontyfikalne w katedrze, odprawione przez ks. kardynała, na którem był obecny marszałek Foch. Z katedry udał się Marszałek do Uniwersytetu, gdzie odbyła się podniosła uroczystość wręczenia marsz. Fochowi doktoratu „honoris causa“. Po uroczystości zebrana w auli młodzież uniwersytecka zaniosła marszałka Focha na rękach do samochodu, który zawiózł Marszałka do ratusza. Wartę honorową pełniło bractwo Strzeleckie. Przed Marszałkiem siedzącym na specyalnie przygotowanym dla niego fotelu na stopniach ratusza, przy dźwiękach orkiestry wojskowej przedefilowali weterani z 1863 r., młodzież szkolna, Sokół, powstańcy, inwalidzi, hallerczycy, studenci, kolejarze, pocztowcy, urzędy, zrzeszenia, towarzystwa, korporacye, ogółem około 100.000 ludzi.

Po defiladzie odbyło się w ratuszu śniadanie, wydane przez prezydenta miasta na cześć Marszałka. Po śniadaniu Marszałek powrócił do Zamku. Mimo deszczu, ulice, któremi przejeżdżał marszałek Foch, były przepełnione publicznością.



Z pobytu marszałka Focha w Polsce: Marszałek Foch podczas hymnu przed klasztorem na Jasnej Górze.



Ku czci bohatera włoskiego: Krzyż na polu bitwy pod Krzykawką, gdzie zginął w roku 63. bohaterską śmiercią Franciszek Nullo. Fot. Dębiec. Olkusz

Szef sztabu armii angielskiej w Krakowie.

W dniu 16 b. m przybył do Krakowa szef sztabu generalnego angielskiego lord Cavan, skąd po jednodniowym pobycie wyjedzie do Warszawy, a następnie do Poznania

Lord Cavan przybywa do Polski z Rzymu, dokąd towarzyszył angielskiej parze królewskiej w jej rewizycie na włoskim dworze królewskim. Przyjazd lorda Cavana do Polski wznawia rewizytę polskiego szefa sztabu generalnego.

Podkreślić należy, że podróż lorda Cavana jest pierwszą wizytą wibitnej wojskowo politycznej osobistości angielskiej w Polsce. Szczególniejsza waga wizyty polega na tem, że lord Cavan przyjeżdża wyłącznie do Polski.

Królestwo hiszpańscy

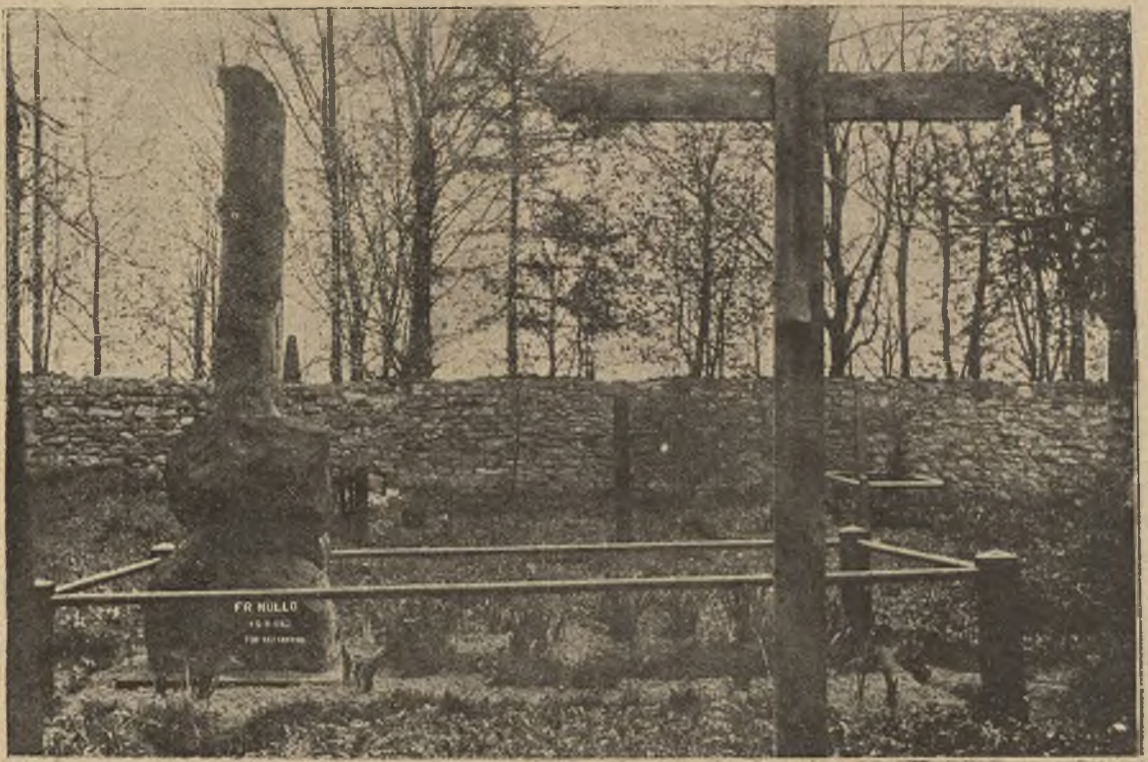
na sewilskim kiermaszu.

Doroczny kiermasz kwietniowy w Sewilli jest dla Hiszpanów pewnym rodzajem święta narodowego, gromadząc w murach miasta całą niemal ludność Andaluzyi. „*Feria*" sewilska urozmaiconą bywa zabawami ludowemi, pochodami, tańcami w malowniczych strojach narodowych i niezbędnemi dla każdego Hiszpana walkami byków.

W tegorocznym kiermaszu, który odbył się przy wspaniałej pogodzie, wzięła udział hiszpańska para królewska, król Alfons i królowa Wiktorya, obydwoje przybrani w andaluzyjski strój ludowy. Widząc ich, przejeżdżających swobodnie konno ulicami miasta wśród tłumów rozentuzyazmowanej ludności, niejeden nie dałby wiary, że to członkowie rodziny panującej, na której dworze przestrzeganą jest dotąd najsurowsza etykieta. W Sewilli królestwo czuli się tylko Hiszpanami i nie chcieli się niczem różnić od reszty ludności, zdobywając sobie tem jej serca.

Ku czci bohatera włoskiego.

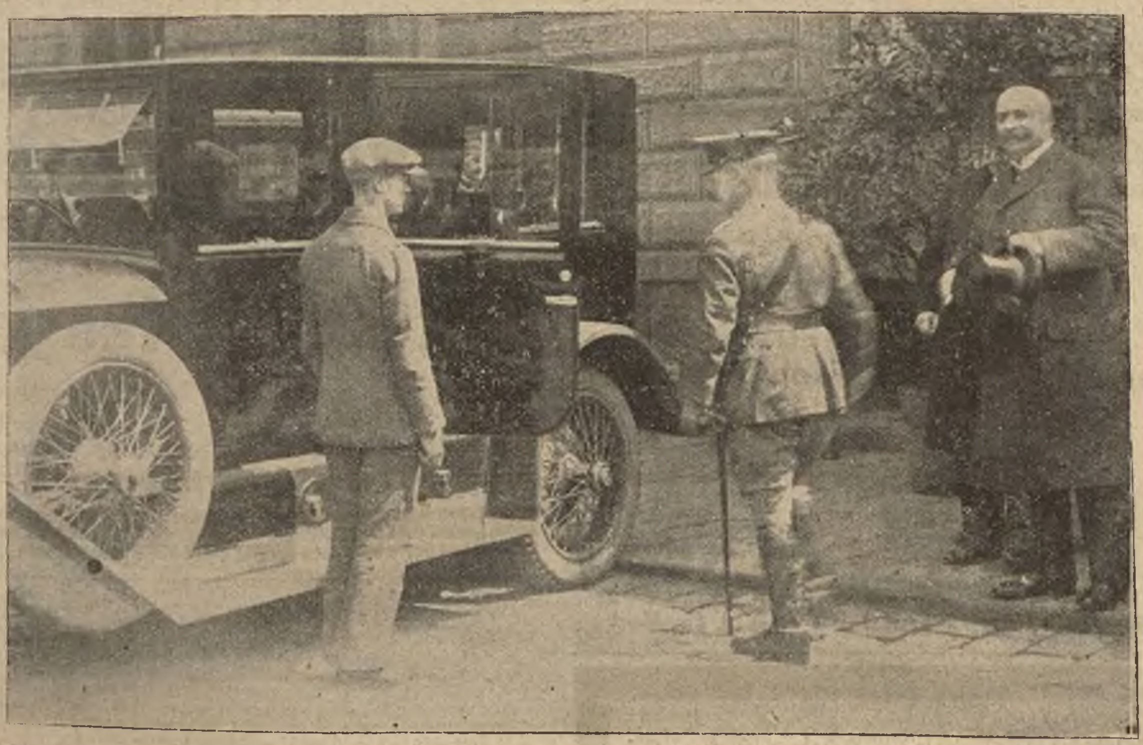
W Olkuszu odbyła się uroczystość 60-lecia zgonu Francesca Nullo, pułk. włoskiego, który zginął w r. 1863, walcząc w szeregach powstańców, a zwłoki jego spoczywają na cmentarzu olkuskim. Uroczystość ta przybrała rozmiary olbrzymiej manifestacyi na cześć szlachetnego ziomka Garibaldiego. Wzięło w niej udział około 10 tysięcy delegacyi z okolicznych miejscowości. Przybyły delegacye z miasteczek Wolbromia, Skały, Pilicy i Płoskowa oraz z licznych kopalń. Rząd



Ku czci bohatera włoskiego: Grób poległego w powstaniu 63. r. Franciszka Nullo na cmentarzu w Olkuszu. Fot. Dębiec. Olkusz.



Królestwo hiszpańscy na sewilskim kiermaszu: Król Alfons i królowa Wiktorya, w strojach ludowych andaluzyjskich, wśród tłumów na ulicach Sewilli.



Szef Sztabu Armii Angielskiej w Krakowie: Szef sztabu armii angielskiej Lord Cavan na dworcu krakowskim.

włoski reprezentował hr. Roncalli, urodzony w Bergamo, rodzinnej miejscowości Francesca Nullo. Dalej przybyli radca handlowy Ambasady włoskiej Menotti, prof. Boni z Towarzystwa Klubu Turinu, dziennikarz Olivi, hrabianka Paulotti, Bariggioni, p. Bianko z Bergamo i p. Villa. Z Komitetu Warszawskiego, którego prezesem jest Stefan Żeromski, przyjechali sekretarz p. Bogumił Rogaczewski, p. Kulczycka, dr. Buchowiecki i pułk. Grabiec-Dąbrowski. Powstańców z r. 1863 reprezentowali p. Kwiatkowski i pułk. powstaniec Minkiewicz ze Lwowa, ktory brał udział w bitwie pod Krzykawką, w której poległ Nullo, pozatem delegacya złożona z 4-ch weteranów.

Na budynku Starostwa w Rynku odsłonięto tablicę pamiątkową ulicy im. Francesco Nullo. Tablicę tę wykuł ten sam kamieniarz z Dąbrowy Górniczej, z inicyatywy dra Buchowieckiego i dra Jaworskiego, który w r. 1908 postawił konspiracyjnie pomnik na grobie Francesca Nullo. Przywieziono około 50 wspaniałych wieńców od delegacyj i stowarzyszeń.

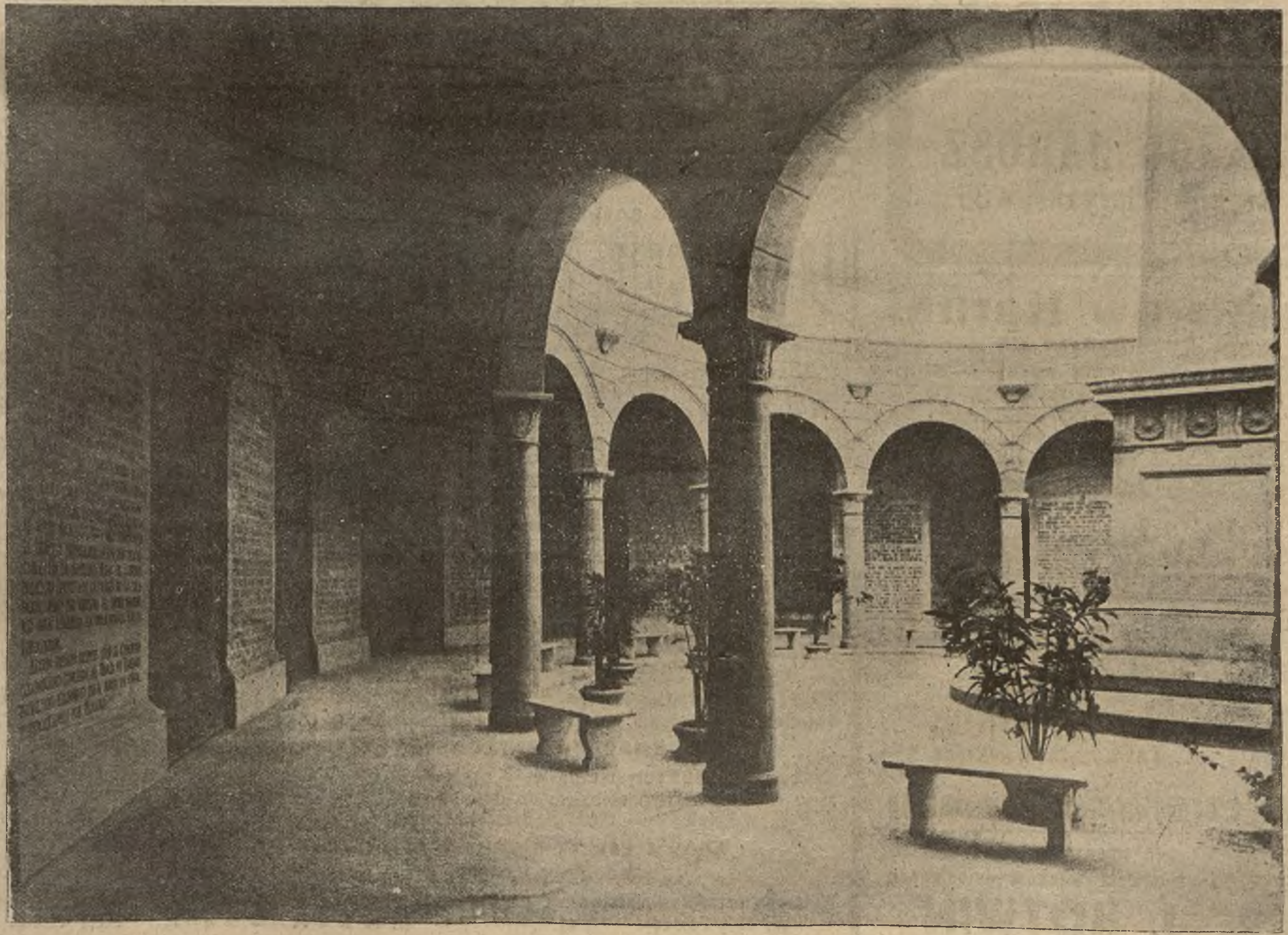
Uroczystość wypadła wspaniale Na Rynku przemawiali: sekretarz Komitetu miejscowego inż. Bac, oraz pułkownik Diestl-Dąbrowa, na grobie zaś Francesca Nullo, przy którym pełnili straż harcerze, starosta p. J. Stamirowski, imieniem Rządu Wojewoda kielecki, dalej hr. Roncalli w imieniu Rządu włoskiego i miasta Bergamo, które nadesłało telegram do Olkusza, dalej przemawiał w imieniu kolonii włoskiej w Polsce p. Menotti, a w końcu burmistrz miasta Olkusza p. Radłowski.

O godzinie 12-tej rozwinął się pochód około dwóch kilometrów długości, w którym brało udział sześć orkiestr. kompania honorowa 63-go pułku strzelców z Katowic, oraz delegacya pułku strzelców podchalańskich, który to pułk nosi dotychczas nadaną mu we Włoszech nazwę pułku Francesca Nullo.

Pamięci twórców Kanału Panamskiego.

Jednem z dzieł, mogących sobie słusznie rościć pretensye do epokowego znaczenia, jest przebicie międzymorza panamskiego i połączenie ze sobą bezpośrednią drogą Atlantyku z Pacyfikiem. Sprawa ta, rozpoczęta w drugiej połowie ubiegłego stulecia, dzięki inicyatywie twórcy Kanału Suezkiego, francuskiego inżyniera, Ferdynanda Lessepsa, w początkach swych napotkała na tak wielkie trudności, iż zdawoło się, że nigdy nie doczeka się realizacyi, na co wpłynęły przedewszystkiem bardzo niepomyślne warunki terenowe i klimatyczne. Akcyonaryusze Kanału Panamskiego potracili miliony, a „Panama“ stała się synonimem oszukańczego przedsiębiorstwa.

Że niem nie była, udowodnił to początek dwudziestego stulecia, kiedy wykończony Kanał Panamski oddano do użytku publicznego. Spełniono też akt wdzięczności wobec inicyatorów projektu, grupujących się w Towarzystwie francusko-amerykańskiem Kanału Panamskiego, nie tak dawno jeszcze obrzucanych błotem i narażonych na nazwę wyzyskiwaczy. Staraniem republiki panamskiej i sąsiednich państw w doprowadzeniu do skutku kanału przedewszystkiem zainteresowanych, wzniesiono w Panamie pomnik ku uczczeniu pamięci Francuzów, pierwszych pionerów tego wielkiego dzieła, Lessepsa, Wysego, Reclusa, Sosy i ich pierwszych współpracowników, z których bardzo wielu okupiło śmiercią swą ciężką i niewdzięczną pracę w krainie malaryi i żółtej febry. Pomnik w kształcie obelisku, wysokości ośmnastu metrów, dzieło architekta panamskiego Villanuera-Meyer, wźniesiono w Panamie, na Placu Francyi, ozdabiając go skromnym, a dla każdego Francuza bardzo pochlebnym napisem: „Ludność Panamy poświęca ten pomnik pamięci Francuzów, pierwszych pionierów Kanału Panamskiego“. Obok znajduje się rotunda z kryptą, harmonizujące się z obeliskiem w jedną całość architektoniczną, a zbudowane z dawnych hiszpańskich fortyfikacyi. Na ścianach umieszczono dziesięć tablic z wyrytą na nich historyą Kanału Panamskiego.



Pamięci twórców Kanału Panamskiego: Rotunda, należąca do pomnika, mieszcząca w sobie dziesięć tablic, z wyrytą na nich w języku hiszpańskim historyą powstania Kanału Panamskiego.

OGŁOSZENIA

FORTEPIANY i PIANINA

pierwszorzędnej marki
po cenach fabrycznych — tylko u firmy

Zygmunt Raba
Nast.
Kraków, ulica św. Anny L. 3.

Materyały wełniane!!

na suknie i kostyumy damskie,

na ubrania męskie

płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony
wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych

poleca

KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Wytwórnia ubiorów

męskich damskich i wojskowych na miarę

Firma

Hojtasz i Wołkowicz

Kraków, ul. Podwale 5. Telefon Numer 3346.

Sprzedaż sukien tylko w doborowych gatunkach.
Ceny umiarkowane.

Zakład techniczno-dentystyczny

N. KLEINBERGERA
Kraków, Szewska 27 I p. (narożnik plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Żądajcie pocztówką, nasz najnowszy cennik wszelkiego rodzaju manufaktury, Ekspedycji przesyłek pocztowych „Nadzieja" w Łodzi ul. Kilińskiego 40/B.K., który natychmiast będzie wysłany zupełnie bezpłatnie i przyniesie Sz. P. dużo korzyści.

Wydawnictwo **„Nadzwyczajne Przygody"**

wysyła się za zaliczeniem po otrzymaniu zamówienia—następujące 16 zeszytów w 2-ch serjach:

1) Hrabianka Żebraczka	9] Księżna na stosie
2) Anna Detour, czyli niewin.	10) Żywcem pogrzebana
3) Tajemn. wyspa oskarż.	11) Zbrodnia pod cmentarzem
4) W sromotnych sidłach	12] Jaskinia złoczyńców
5) Złotowłosa Cyganka	13) Tajemnica żebraka
6) Sensacyjne odkrycie	14) Zbójecka trójka
7) Trujące kwiaty	15) Niedźwiedziarz
8) Potworna siostra	16) Poławiacze trupów

Każdy zeszyt stanowi odzielną całość—Wysyła się przy zamówieniu każdej serji czyli 8 zeszyt za 7600 Mk., licząc wraz z drożyzn. i koszt. przesyłki -2 serji czyli wszystkie 16 zeszyt. razem za 14.500 Mk. —Adresować **Składnica**
S.Jakobsohn, Warszawa Grzybowska 31.

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnej jakości i wykonania
hurtownie i częściowo poleca:

FABRYKA LIN KONOPNYCH
STANISŁAWA WAŁKOWIŃSKIEGO
dawniej Kazimierz Wałkowiński
Kraków-Zwierzyniec, ul. Lelewela 11.

Uwaga: Z firmą tego samego nazwiska i sklepem nie mam nic wspólnego — a znajduję się jedynie tylko pod powyższym adresem.

Dr Witold Lipiński

ordynuje w chorobach
-- skórnych --
i wenerycznych

Aleja Mickiewicza L. 14.
(róg ulicy Czystej)
od godz. 2—5 popoł

Pracownia kapeluszy damskich

„ANTONINA"

Kraków, ul. Floryańska L. 13, I. p.
(w podworcu)

poleca KAPELUSZE DAMSKIE w wielkim wyborze — oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres modniarstwa wchodzące

po nader przystępnych cenach.

FIRANKI, PORTJERY i KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

Wacław Grabiański

Niedyskrecje księżyca

(humoreski)

Strażniczki cnoty. — Fuszer. — Inny departament. — Tajemnica letniej nocy. — Przygoda samobójy.

Cena zasadnicza 0,50.

Tegoż autora:

Wojenny balonik 1. Przesilenie 1. -
Rymy i proza 1 50 Piekło 2.50 Dwie nowele 0,50

Mnożnik — ustalony przez Związek księgarzy-wydawców w Warszawie.

Gebethner i Wolff, Kraków.

Księga pamiątkowa wielkiej wojny

Jest do nabycia w Admin. „Nowości Illustr.".

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza l. 9

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecięcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

„HUMOR POLSKI"



Dwutygodnik humorystyczny
polityczno-satyryczny.
Cena egz. 1000 Mk.
Adres Redakcyi i Administracyi
Kraków IV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.

DO SPRZEDANIA

!

Lustro z konsolą
2 szafki nocne
2 stoliki na kwiaty.

Wiadomość: ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Jedyne na nasze drogi!

Samochody osobowe „FORD" Samochody ciężarowe Najtańsze w użyciu!

Z ładnem nadwoziem, nowego modelu 1923 roku, elektrycznym uruchamiaczem, stałem, silnem światłem elektrycznem, donośnym a dźwięcznym sygnałem, na kołach o zdejmowanych obręczach.

CENY ZNACZNIE ZNIŻONE! CENY ZNACZNIE ZNIŻONE!

Samochód „FORD" turystyczny, 4—5 osob. — 20 HP. cztero-cylindrowy, z kompletem opon i kiszek, całkowitem wyposażeniem do drogi **550·— dol.** **Takiż samochód, lecz udoskonalony,** jak wyżej **650·— dol.** Samochód ciężarowy „FORD" 1—1½ tonny **630·— dol.**

Ceny części zamiennych również zniżone od 40—50%.

Samochody i części zamienne stale na składzie.

Wyłączne przedstawicielstwo na całą Polskę „ELIBOR" Sp. Akc. Handl.-Przem. **Ł. J. BORKOWSKI, Kraków Rynek 26 Tel. 4259.**



Specyalny skład i pracownia wózków dziecięcych

J. BOTWIN
Kraków, ulica Floryańska L. 30.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.